

Schander "Młodość" 20-22/IV 1981

— Była Pani wielokrotnie nagradzana, najczyściej jednak, najserdeczniej przez publiczność, u której zajmuje Pani miejsce szczególne. Czy to więc prawda, że dzisiejsza widownia jest równie martwa jak martwy zaczyna być teatr?

— Istotnie teatr bywa martwy, gdy wielki repertuar przekazywany jest w kształcie okaleczonym i wypaczonym. To chyba wypacza i poglądy — artystyczne, estetyczne — zarówno młodych jak i całego społeczeństwa. No i doprowadza do ubogiej nudy. Należę do tych, którzy prawie nie chodzą do teatru, bo przeważnie nie będąc martwą, za głośno, mimo woli, wzdycham. A to słycać. Ale cieszę się, że aktorzy radzi są, gdy jako widz śmieję się czasem jako pierwsza — więc też słycać. Jako osoba impulsywna brawa biję również pierwsza. Teatr jest przecież od tego, by w nim nie zasypiać... Po co chodzić do teatru, który zanudza?... Siedzieć i drzemać można przed telewizorem.

— Ukończyła Pani przed wojną warszawskie Gimnazjum Im. Marii Kopernickiej, Szkołę Teatralną przy Konserwatorium Warszawskim pod dyrekcją Aleksandra Zelwerowicza. Choć pierwszym miejscem Pani pracy było Wilno i Lwów, już w 1933 roku wystąpiła Pani w stolicy — jak wieść niesie — na gościnnym występach...

— Znana byłam z tego, że „nuciłam pieśń nie na własną cześć”, toteż na różne propozycje teatralne np. dyr. Szyfmana z Teatru Polskiego w Warszawie odpowiadałam swoje: „Jestem u Zelwerowicza” albo „Jestem u Horzycy”, byłam przecież ich uczennicą w szkole dramatycznej.

Wówczas miałam kontrakt w lwowskim Teatrze Wielkim z dyr. Horzycą, gdy Szyfman zwrócił się do niego by puścił mnie na występy do Warszawy i w ten sposób z wiosną 1933 roku odbyły się moje gościnne występy w rodzinnym mieście. Od września zaangażowałam się tu na stałe do Teatru Polskiego, a na występy jeżdżiłam do słynnego wówczas teatru we Lwowie. Zresztą wkrótce Horzycy z Zelwerowiczem objęli Teatr Narodowy i byłam szczęśliwa pod tymi „skrzydłami”. Śmieliśmy się często — oni jak zabawnie ze mnie żartowali. To znaczy śmieł się, a ja razem z nimi. Bo zawsze „dla zdrowia” nauczona przez starsze rodzeństwo lubiłam śmiać się z samej siebie. Mądrzy ludzie nigdy mnie nie krzywdzili. Ale oni byli wielcy. Nie miało się do czynienia z małością, a zwłaszcza z niskością pobudek.

— Czym jest dla Pani Warszawa, kim są jej mieszkańcy?

— Z Warszawą, a więc i z jej mieszkańcami, moje związki są i były niezmiennie wierne. Pamiętam tyle rzeczy dobrych... To daje siłę, aby przetrwać, znieść te złe, czy też bardzo złe.

— Mówi się o Pani: aktorka wspaniała i nieznosna. Trudno się podobno z Panią pracuje bo: sama siebie reżyseruje, samodzielnie do swoich ról projektuje kostiumy, w rolach przebiera, jest apodyktyczna



Irena Eichlerówna w „Tej Gabrieli”, spektaklu w Teatrze Małym zrealizowanym według listów Gabrieli Zapolskiej.

IRENA EICHLERÓWNA:

NIE NUCE PIEŚNI NA WŁASNA CZEŚĆ

I grymasna. Twórcy teatru jakoś się na to godzą. Chcą mieć w obsadzie indywidualność, wiedzą, że na Eichlerównę publiczność zawsze przyjdzie?

— Tego doprawdy nie wiem. Pracuję. Może to wszystko i prawda, co mówią. Radzili na przykład jeden drugiemu „daj spokój, lepiej nic jej nie mów, bo zaraz zaczniesz zmieniać początek, albo środek, albo zakończenie”. No itd. Zaśmiewali się przy tym, a ja z nimi. To było przyjemne.

— Jak znosi, Pani, kłęski? Czy były takowe w Pani życiu artystycznym?

— Kłęski znoszę naprawdę fatalnie. Choruję. Trudno ciągle myśleć o największych bajkach świata np. o brzuchu wieloryba, żeby się doń mogło schronić przed podłością.

— W jaki sposób wielka artystka, wrażliwy człowiek reaguje na pogarszający się od lat stosunek decydentów do problemów sztuki i kultury?

— To, co się wyprawia w teatrach, którymi kierują ludzie bez kwalifikacji prowadzi jedynie do tego, że trzeba rano się modlić, żeby tam nie

grać, albo dziękować Bogu, że się tam nie grał. Dyrektorska „pieśń na własną cześć” zadreca wszystkich.

— Właśnie, rzadko Pani teraz występuje. Czy dlatego, aby publiczność bardziej na Panią oczekiwała?

— To nie jest czas ani na jubileusz ani też nie ma odpowiedniej sztuki. Dramat powinien być aktualny, choćby pod ludzkimi względami. Ambicja, by nie zawieść ludzi to ambicja do urzeczywistnienia nie zawsze radosna.

— A może dlatego tak mało Pani w teatrze, że nie znajdując dzisiaj satysfakcji woli Pani powracać we wspomnienia do dawnych ról?

— W istocie bardzo uwielbiałam wielkie tradycje, dlatego pamiętałam ludzi, którzy te tradycje wielkiego polskiego teatru wnosili wraz ze sobą. Zapewne, jest w tym poczucie dumy, że wielkie aktorstwo „było, jest i będzie” — to jest tradycja!

— Wielu naszych wybitnych aktorów uczy się w szkole teatralnej. Pani, jak wiem, nigdy nie łączyła pracy arty-

stycznej z pedagogiczną. Dlaczego?

— Nigdy mi tego nie proponowano. Chyba nie byłam odpowiednia? Walczyłabym o dobre tradycje, to pewne. Może teraz studenci wywalczą to sobie sami. „30 lat później”.

— Teatr Narodowy, z którym związana jest Pani od lat, z pewnością oferuje Pani rozmaite role. Sądząc jednak z tak rzadkiej obecności Pani na scenie większość tych propozycji odrzuca Pani?

— Nie odrzucam żadnych propozycji. Choć nie bardzo wiem, jak pracować w teatrach, gdzie nie znosi się aktorów. Jak i nie bardzo rozumiem jak można prowadzić teatr nie, znosząc ludzi? Istotnie — manekinem nie bywam.

— O Pani talencie pisano z podziwem. Do dziś pamięta się Pani wielkie role. Dla jednych aktorów z pewnością była Pani niedoścignym wzorem. Inni zazdrościli Pani talentu, sławy. Czy odczuła Pani z tego powodu zawiść kolegów?

— Sądzę, że „Ayciowa” gra wynikająca z marnych pobudek czy zatrutych zawiści mózgowi kwitnie w naszym zawodzie tak samo jak w innych. To jest wszędzie jednak groźne — to utracanie ludzi niedogodnych, unieszkodliwianie ludzi przeszkadzających komuś w robieniu kariery „na chłama” czy „na grądę” — jak to się od dawna określa. Język polski też się wzbogaca.

— Niewielu jest w naszych teatrach reżyserów, którzy bardziej — a co najmniej w równej mierze — eksponują aktorstwo niż własne pomysły inscenizacyjne. Wydaje mi się, że nie lubi Pani grać w spektaklach, w których jest Pani jedynie wykonawcą niezrządka, zbędnego zamysłu reżysera?

— Nie uważam, żeby to było publiczności potrzebne. Do czego potrzebne reżyserom — może lepiej nie dociekać. Najsluszniej określił to Artur Sandauer: „W naszych arcy-nienormalnych stosunkach staram się zawsze zachować postawę człowieka normalnego”.

— Czy spotkała się Pani z reżyserami, którzy do aktorów odnoszą się z atencją, szanują ich osobowość, ich inteligencję?

— Na szczęście jest jednak wielu kulturalnych ludzi. Wykształconych, wychowanych. Grubiaństwa są mi obce. I są świetni aktorzy — z Holoubkiem na czele. Im przecież nie przeszkadza cudze aktorstwo — tak mężczyźni jak i kobiety...

— Jak reaguje wielka aktorka na przyznanie Jej nagrody m. st. Warszawy?

— Jerzy Waldorff dziękując w imieniu nas wszystkich za nagrodę powiedział, że otrzymać ją „lepiej późno niż po śmierci”. Dostał więc i brawa spontaniczne. Bo trudno nie przyznać racji — zwłaszcza gdy jest to najwyższe odznaczenie dla warszawiaka za życia

Rozmawiała:

MARTA SZTOKFISZ

Fot. EDWARD HARTWIG